



Ze zbiorów przygód i dumań  
dobrego rodaka

Grzesia Polaka

[www.grzesiopolak.com](http://www.grzesiopolak.com)

[www.grzesiopolak.pl](http://www.grzesiopolak.pl)

## Kiedy nie można powiedzieć „Dość!”

Tekst: Adam Ciesielski

Ilustracje: Szczepan Sadurski



Adam Ciesielski (ur. 1964) jest lekarzem, pracującym obecnie w Kapsztadzie, RPA. Egzystencja w izolacji od Polski nauczyła go ufaniu wewnętrznym instynktom oraz wiary w siebie. Dzieli się swoimi emigracyjnymi wrażeniami, doświadczeniami z tytułu wychowania syna poza granicami kraju, przygodami z lat młodości i swoistą filozofią życia na witrynie „Nierówna walka z naturą” - [GrzesioPolak.com](http://GrzesioPolak.com) - gdzie można przeczytać satyryczno-filozoficzne teksty jego autorstwa.

Copyright © grzesiopolak.com



Teksty, zdjęcia i rysunki (dalej: „Utwory”) zawarte w tej publikacji objęte są licencją Creative Commons: Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Unported. W celu przeczytania pełnego tekstu praw autorskich kliknij [tutaj](#).

Największym wyzwaniem dla rodzica jest przekonanie dziecka do zrobienia czegoś, czego dziecko zrobić nie chce, ale tak, aby dziecko jednak widziało potrzebę realizacji wrednego zadania, a potem odczuło satysfakcję z uwagi na posłuchanie rodzica.

Grzesio strawił większość swojego życia nad roztrząsaniem, jak wzbudzić w swoim synu Jacku podobną dyscyplinę, czyli jak błysnąć ojcowskim autorytetem efektywnie i bez wszczynania awantur. Misja to była nie lada ze względu na różnorakie wpływy, które wręcz naturalnie przeciwdziałały osiągnięciu celu: cechy osobiste Grzesia oraz ogólnie znane symptomy okresu dorastania.

Po pierwsze, wrodzona bezkonfliktowość Grzesia stała przeszkodą na drodze do proszenia, błagania, żądania, grożenia bądź innych metod egzekwowania czegokolwiek. Słowem, wolał zakasać rękawy sam, niż rozglądać się po okolicy za umyślnym do załatwienia sprawy, bowiem delegowanie utożsamiał z szukaniem zaczepki (któż łaknie być zapędzanym do roboty?).

Po drugie, nie istnieje na świecie człowiek, który kochałby pasjami zaścielanie łóżek, odkurzanie, pucowanie buciczków, mycie naczyń, pranie itd., więc naświetlanie niby pozytywnych aspektów partycypacji w takowych czynnościach jest wierutnym kłamstwem, hipokryzją na resorach. Przecież wszyscy (gołowąsy i sędziwi; biedni i zamożni; płeć żeńska, męska i inna) woleliby zwerbować gosposię, zaś czas rozrtwonić na rozrywkę, hobby lub leżenie brzuchem do góry. W dodatku Grzesio mieszka w RPA, gdzie nieposiadanie sprzątaczkę przez białego jest nawet dla czarnych nienormalne: czyżby kolonialista zapomniał, po co tutaj przyjechał? Jak biedny syn ma wyjaśnić białej ferajnie w budzie, że ojciec nie zatrudnia służby? Zwariował, pomylił kraje, liberał jakiś czy co? Można wstydu się nałykać, zostać samotnikiem już w wieku szkolnym, nałapać złych ocen, oczy nad zdziwaczałym papą wypłakać... Reasumując, ciężko naświetlić komukolwiek sensowność zaangażowania w domowe obowiązki, zwłaszcza europejczykowi w Kapsztadzie.

Po trzecie, Grzesio żywił awersję do oficjalnej maszyny nauczania, co wzmagало jego niesforność na polu tak odpowiedzialnym, jak wychowanie Jacka na użyteczną jednostkę społeczną. Sam został precyzyjnie ustawiony na drabinie kariery dzięki familijnym taktykom molestującym: kazaniom o wyższości wykształconych nad motłochem; wykpiwaniu niedochodowych pasji artystycznych; mamieniu wizjami niebotycznych zarobków ginekologów skrobiących czy chirurgów upiększających; podkreślaniu bezpieczeństwa oraz atrakcyjności stałego zawodu na czterdzieści lat (najlepiej w tym samym miejscu, bo zmiany lokalizacji stwarzają problemy logistyczne); indoktrynowaniu o powszechnym poważaniu utytułowanych mistrzów przez niezdefiniowanych szaraków. Kwesie wewnętrznych aspiracji tudzież autentycznego zainteresowania komplementowaną dziedzina omięto niczym śmierdzącą kupę, zlepioną z ekskrementów naiwnych romantyków.

Asekuranckie strategie opiekuńcze tego typu mozolnie skleciły produkt końcowy „edukacji na matrycy”, czyli doktora bez krzty powołania, który ocknął się nagle po studiach w izbie przyjęć nie za bardzo pojmując, co tam porabiał: trzepotał ze zdziwienia powiekami, otoczony jakimiś zawracającymi gitarę, schorowanymi ludźmi. Broń Boże, nie miał nic przeciwko nobliwej profesji medycznej, ale nie czuł ku niej żadnych ciągot, analogicznie do podwodnego fotografa wyzutego z miłości do uroków morza - ot, mechaniczne pstrykanie fotek z kolejnej, nudej jak flaki z olejem wycieczki na rafę koralową.

Nie dziwota zatem, iż Grzesio napotykał potężne opory w uwypuklaniu zalet szkoły, ponieważ porównywał zorganizowaną oświatę do spsychacza zrównującego ambicje do jednego poziomu, miażdżącego mimochodem kielkujące tu i tam autentyczne marzenia i talenta. Uprzedzony, może przesadnie, do dydaktyki taśmowej, musiał zgrabnie żonglować argumentami przed Jackiem, któremu wpajał wolność wyboru, ale symultanicznie prowadził za rączkę do gmachu, gdzie niezależność oraz wyobraźnię ograniczał sztywny program.

Po czwarte, nad tajemnicą odporności młodszych na ostrzeżenia przekazywane przez starszych mędrycy zęby zjedli, pisarze pióra zgrzali, zaś naukowcy utkwili ślepych zaułku. Gdyby nabyte doświadczenia plus wiedza sływały automatycznie z pokolenia na pokolenie, *homo sapiens* byłaby rasą panującą we wszechświecie, a przynajmniej na planecie Ziemia zapanowałyby nieustannie rosnące szczęście i dostatek. Niestety, dojrzewający człowiek nie potrafi zinternalizować przestróg, jakkolwiek zasadniczych, głoszonych troskliwie przez seniorów otrzaskanych z egzystencjalnymi pułapkami. O, nie! Każdy *musi* wpiery sprawdzić, czy rozsądek nie jest jeno kretyńskim zabobonem - straszakiem zmurszałych grzybów na pełną werwy smarkaterię. Trzeba wybadać konsekwencje jazdy samochodem po pijaku, uprawiania seksu bez zabezpieczenia, degustacji papierosów bądź dopalaczy, ściągania na egzaminie, przemytu przez granicę, zrobienia sobie selfie na krawędzi przepaści, zaciągnięcia masy długów na masę budżetów itd. Ryzykanctwo (określane dla pociechy ducha mianem „fantazji”, aczkolwiek nikt nic nowego nie wymyślił podczas eksploracji już znanego, *i.e.* podejmowania kroków z góry karkołomnych) przybiera wiele form, powodując spustoszenia w życiu nie tylko nastolatków.

Grzesio był zatem bezsilny w zapobieganiu wszelkich potknięć syna, skoro Stwórca popełnił błąd w konstrukcji ludzkiego mózgu, zapominając o zamontowaniu mechanizmu przeciwdziałającego beztroście na podstawie wdrożonych z zewnątrz informacji, popartych zresztą tysiącokrotnie empirią. Poza tym sam nie wierzył w praktyczność chłostania batem, wychwalania armijnej dyscypliny w chałupie albo selekcjonowania kierunków kuszących intratnością, więc lawirował omijając standardowe bramki wychowawczo-motywacyjne stylem zbuntowanego narciarza slalomowego, prującego własnym kursem.

- Zamiast nakazywać, zawierał pakt z Jackiem („Ja zrobię to, a ty tamto, czy raczej chcesz odwrotnie?”).
- Zamiast rekomendowania męczących obowiązków domowych jako korzystnych dla kindersztuby, przemieniał je w swego rodzaju zabawę („Uporządkuj pokój, to będzie miejsce na zbudowanie tego

zamku z kolocków.”; „Chodź, wyrzucimy śmieci razem, bo niedługo do kuchni nie wleziemy. Przy kiblach - tak dla jaj - postraszymy koty.”).

- Zamiast gloryfikować dobre oceny czy wspinaczkę po szczebelkach kariery, wytykał namacalne pożytki łązenia do szkoły („Poznasz tyłu kumpli, co niemiara!”; „Popływasz, pograsz w piłę, pojedziesz na fajną wycieczkę!”).
- Zamiast chwalić tępe dziobanie politycznie poprawnych podręczników, uzasadniał opłacalność nauki *per se* („Uczysz się uczyć, co się tobie przyda, gdy kiedyś odnajdziesz swoją prawdziwą pasję - wówczas łatwo nauczysz się o tym, co cię zainteresuje, jako że będziesz już nauczony, jak się uczyć, kapujesz? Na razie kujesz dla treningu, ćwiczysz pamięć.”).
- Zamiast karać za przewinienia (wyłączeniem komputera, więzieniem w czterech ścianach, szlabanem na imprezy, klęczeniem w kącie na grochu, łojeniem tyłka pasem - patenty wzmagające apetyt na kontynuację forsownie zakazanego), dyskutował opcje, które były dostępne dla sponiewieranego rezultatami niefrasobliwości Jacka, czyli sprytnie przedstawiał propozycję nie do odrzucenia („Wydałeś całe kieszonkowe, no i dupa zbita... Hmm... Mogę rozbić gażę z następnego miesiąca na dwie części - dać tobie trochę teraz, a resztę pierwszego. A ty co proponujesz?”; „Grożą tobie oblaniem roku za Afrikaans? Też nienawidziłbym tak chrobotliwego jęzora! Dlaczego w ogóle ten przedmiot jest obowiązkowy?! No nic... Możesz powtórzyć rok, kiblując z mniejszymi ecie-pecie, ple-ple, klituś-bajduś, ciamcia-ramcia, obsrane-majteczki brzdącami, ewentualnie poświęcić ekstra godziny na podszlifowanie afrykanerskiego slangu i zaliczyć semestr dla świętego spokoju.”).

Negocjował, debatował, uskakiwał, przykucał, zaczynał się, udawał idiotę, czarował - stosował wachlarz strategii na uniknięcie bezpośredniej presji, wytrwale propagując w Jacku indywidualność,

autonomiczność i wiarę w siebie, nie zapominając jednakże o wyrobieniu w nim poczucia odpowiedzialności za własne czyny (by nie wyhodować przypadkiem narcystycznego psychopaty). Nigdy nie przymuszał, oferując synowi swobodę wyboru, którą zawsze wspomagał.



Skąpany w szczodroblewości oraz tolerancyjności ojca, Jacek śmigał ze zwinnością rybki z zatoczki do zatoczki rozwojowej, niesiony nurtami samostanowienia. Przepłynął rzeško akademicki akwen i wychynął na łądzie dorosłości wciąż nie będąc pewnym, czym chce się parać, o co właśnie chodziło! Był niby ten rozbitek na bezludnej wyspie, sondujący teren, zabiegający o przetrwanie, planujący starannie przyszłość, a nade wszystko odkrywający siebie. Wówczas, po lustracji okolic i sumiennej medytacji, postanowił kontynuować studia w celu zdobycia, za jednym zamachem, tytułu MBA (*Master of Business Administration* - magister zarządzania). Tata już zacierał ręczki mniemając, że wydatki na

uczelnię niedługo przejdą do historii, a tu masz babo placek! Mimo wszystko nie rozpaczał, albowiem Jacek sam podjął decyzję przebrnięcia przez żmudne, dodatkowe szkolenie. Grzesio widział, słyszał i czuł, że syn *pragnął* stanąć w szeregach kapitalistów wysokiego kalibru, przeto nie oponował - entuzjastycznie przyklasnął, zapewniając sfinansowanie przedsięwzięcia.

Gdy wykłady i zajęcia MBA dobiegały końca, Jacek zaczął nawet pracować w funkcji menedżera w lokalnej knajpie, za wcale przyzwoite pieniądze! Dziecko skwapliwie kroczyło więc obraną przez siebie drogą, donosząc papie same dobre wieści tudzież uzewnętrżając zadowolenie.

Minęły trzy kolejne miesiące, kiedy nagle obwieścił wyjazd z miasteczka uniwersyteckiego do Johannesburga, ponieważ otrzymał propozycję posady w międzynarodowej korporacji. Grzesio dyskretnie wyraził wątpliwości: czy nie lepiej w pierw dobić do edukacyjnej mety, a dopiero potem żeglować na głębokie wody? Syn był nieprzejednany: lepsze zarobki, migające światła metropolii, szerokie perspektywy, ogromny rynek itd. - wyświechtane argumenty, stymulujące do rozwinięcia skrzydeł, by poszybować ponad tłumem wymiętolonych konsumentów. Pozostały do zaliczenia jeno dwa małe projekty plus, oczywiście, sfinalizowanie pracy magisterskiej, co Jacek zamierzał podobno zrealizować „z palcem w nosie na odległość”.

Przeprowadzka, spanie kątem u kolegi, wynajem maciupkiego mieszkanka, rozpoczęcie harówki dla firmy, która (jak się okazało) rozprowadzała aplikację restauracyjną - takie oto łupy stanowiły pokłosie stanowczego ruchu w wielki świat. Z czasem telefoniczne pogawędki z synem zaczęły ubożać w konkrety, mętnieć niczym bełkot coraz bardziej podpitych meneli. Szczególna chaotyczność dotyczyła wiadomością *propos* postępów naukowych. Pomimo wysiłków Grzesia, dążących do wydłubania odpowiedzi na pytania iście podstawowe (co?; jak?; kiedy?; gdzie?), Jacek mamrotał na wzór chłystka, który coś przeskrobał: „Robią problemy z tym pierwszym projektem, ale poradzę sobie.”; „Mój promotor w kółko gmatwa sprawy. Nigdy go nie ma.

Wszyscy się na niego skarżą.”; „Na razie czekam na e-maila z dalszymi instrukcjami.”.

Władanie cierpliwością nie oznacza inhereznego debilizmu, toteż rozjątrzony odrobinę Grzesio przykręcił wreszcie śledczą śrubę. Wszak miał prawo dotarcia do uczciwego raportu na temat sponsorowanych przez siebie studiów. Pewnego dnia zebrał się tedy na odwagę: zaparkował brykę przed myjnią, ale nawet nie wysiadł - szybko chwycił komórkę i zadzwonił do Jacka.

- Cześć tata!

- Cześć. Jak leci?

- Powolutku, powolutku... Wszystko okey - świergotał Jacek.

- No to świetnie. A co się dzieje z magisterką?

- Ech, opóźniają, kołują... Promotor wciąż nie daje znaku życia, a dziekan na urlopie.

- Jacek - podniósł głos Grzesio - do kiedy masz napisać pracę?

- Eee... Do połowy marca, ale przedtem jeszcze muszę poprawić ten pierwszy projekt. Z tym nie będzie kłopotu, bo to pryszcz. Poza tym...

- Jacek! - huknął Grzesio. - Od miesiąca zasuwasz o tym „pryszczu”, którego nijak nie potrafisz nagryzmolić, a władze uczelni, razem z promotorem, są permanentnie nieobecne. Zaraz do nich tyrknę, aby tę niespodziewanie długą absencję potwierdzić. Co się dzieje, do cholery jasnej?! Nie masz ojca po to, by go karmić bajdami! Teraz gadaj jak facet: kiedy dokończysz pisanie i korekcję swojej pracy magisterskiej? Kiedy mam przyjechać na ceremonię wręczenia dyplomów? O, poczekaj... Na witrynie uniwersyteckiej piszą, że gala odbędzie się drugiego kwietnia, więc już teraz kupię bilet lotniczy, zarezerwuję miejsce w hotelu oraz złożę podanie o urlop, dobra? Skoro wszystko stanowi dla ciebie pryszcz - szydził - więc z pewnością zaaprobujesz mój pomysł wcześniejszego zaklepania noclegu, bo później będą przepychanki ze względu na masy rozradowanych rodziców, walących zobaczyć swoje utytułowane pociechy. Wolisz osobny pokój, czy może zamówimy podwójny dla oszczędności?



Odwalę się w czarny garnitur, wyglancuję lakierki, założę ten kremowo-srebrny krawat Pierre’a Cardina, spryskam szyjkę pierwszorzędnym perfumem! Dla ciebie, syneczku, dla ciebie! Och, jestem taki szczęśliwy!

Zapanowała cisza, przerwana znowuż przez Grzesia.

- Co się dzieje?

- Nie zdołam... - westchnął Jacek. - Za dużo nagarnąłem na talerz: robota do siódmej wieczorem, codzienne zakupy, korki na autostradach... Nawet na zamknięcie głównianego projektu brak czasu, nie wspominając o pracy magisterskiej.

- Jakie są konsekwencje oblania projektu? - zapytał Grzesio, dzielnie opanowując jakąś emocję w nim narastającą, wcale nie pokojową.

- Wówczas trzeba powtórzyć cały kurs. Takie są regulacje szkoły biznesu. Ja już jednak podjąłem decyzję: nie będę tego dalej ciągnął. Nie sposób pogodzić kariery z tak intensywnym kursem - kontynuował obojętnym tonem, jakby nad czymś rozważał. - Potencjalnie, kiedyś, jeśli nadeży się okazja, sięgnę po MBA. Na razie dość męczarni. Zostanę tutaj, trochę popracuję, potem zobaczę. Na razie dość...

Wedle zaprzyszłych scenariuszy, Grzesio powinien przytaknąć, wzruszyć ramionami, pożyczyć sukcesów, może cosik delikatnie zasugerować, ale absolutnie do niczego nie zmuszać.

Tymczasem zawładnęły nim tajemnicze moce poza jego kontrolą, odblokowując mimowolne reakcje psychomotoryczne. Wpierw skamieniał, odbierając jackowy przekaz coraz mniej wyraźnie. Potem, z sekundy na sekundę, każdy jego mięsień doznał skurczu, a niepowstrzymany strumień łez zalał zmęczone, ojcowskie policzki...

Trwał tak, niezdolny do ruchu, opróżniony z myśli, z rozwartymi upiornie oczami, drgającymi wargami, niemy, ogłupiały, jakby belitośnie pobity i upodlony.

Tę skorupę paraliżu przebił przeraźliwy, bezwarunkowy jęk.

- Neeeeeeeeeeee! - wybuczał Grzesio przez ściśnięte gardło. - Po moim trupieeee! Neeeeeeeeeeee! - ryczał jak zarzynany wół. Krztusił się. - Nie... nie ma „doość”! Zakoń... zakończysz MBA teraaaz! Zaraaaz!

Ktoś zapukał w szybę samochodu, przerażony widokiem rozdygotanego, wyjącego w środku gościa. Grzesio odgonił intruza machnięciem ręki.

- Spokojnie, tata! - mówił przestraszony nie na żarty Jacek. - Poczekaj chwilę... Przecież ja sobie tutaj poradzę. Mam zawód i...

- Neeeeeeeeeeee! Przystaaań! - łkał oszalały Grzesio. - Zamknij sięęę! Ciszaaa! Twój par... parszywy zwóóód! Parszywa firma hinduskaaa, która zbankrutowała już w trzech krajaaaach! Jesteśsalesmaaan ! Sprzedawca dumnych aplikacjiiii! Ludzie sra... srają na te aplikacjeje!

Wytarł zasmarkany nos w rękaw. Wciąż płakał, targany wściekłością zmieszaną z rozpaczą. Próbował uspokoić oddech, który rwał płuca spontanicznie, boleśnie.

- Słuchaj, synu - charczał przeraźliwie. - Spieprzyłeś sprawę, przeliczyłeś się... Teraz zrobisz to, co powiem... W przeciągu tygodnia porzucisz johannesburski bajzel. Daj wymówienie szefowi tego szemranego geszeftu, nie wartego funta przegniłych kłaków. Spakuj manatki, sprzedaj zbędne rzeczy, wybierz kwaterę niedaleko uniwersytetu, zabukuj lot. Ja za wszystko zapłacę. Pojedziesz z powrotem, przysiądziesz nad książkami, ładnie i bezdyskusyjnie wykonasz dokładnie to, czego profesory żądają. Jeżeli mi odmówisz, jutro osobiście przylecę do Johannesburga, skuję cię w kajdany, po czym dostarczę na uczelnię w bagażniku. Wynajmę murzyńskich wykidajłów, cobyś grzecznie ślęczał nad nauką, a nie nad butelką piwa w barze. Odbębniisz zaległy projekt, staniesz na baczność przed promotorem i karnie podporządkujesz się jego rozkazom - co do joty! Obronisz pracę magisterską na medal, a następnie odbierzesz certyfikat MBA z rąk rektora, podczas gdy ja będę wiwatował z trybun, jasne? A wiesz dlaczego to... to zrobisz? - ciągnął urywanymi frazami poprzez szloch. - **Bohcialeś!** Tryskałeś podnieceniem, motywowałeś się, piałeś z zachwytu, widziałeś siebie w roli lidera! Guzik mnie obchodzi odznaka biznesmena fenomenalnego, ocykanego z tajemnikami robienia z ludzi frajerów. Nie walczę o MBA, bo mam wszelkie dystynkcje i kwity w dupie, lecz o ciebie, o twoją pasję. Równie chwacko darłbym koty, gdybyś pałał żądzą zdobycia licencji hafciarskiego mistrza. Nigdy

nie rezygnuj z tego, czego bezgranicznie *chcesz*, bo przywykniesz do deptania własnych idei, własnych marzeń, własnej duszy! Skończ to MBA, to zawsze będziesz człowiekiem o granitowej integralności, ufającym swej intuicji, a nie klakierem tych, którzy namawiają ciemniaków do pelzania w szambie *status quo*. Nie zdradzaj samego siebie, błagam cię chłopie... Bądź lepszy ode mnie, przerośnij ojca nieudacznika...

Rozum milczał, kiedy wywnętrzył swe serce.

Obaj nic nie mówili - dało się słyszeć tylko cichutkie pochlipywanie wyczerpanego Grzesia.

Po minucie Jacek wyszeptał obietnicę.

- Tata... Zrobię kropka w kropkę to, co mi kazałeś. Kocham cię ponad życie, tato...

Też płakał.

Syn odebrał dyplom MBA z rąk lektora, gdy dumny papa wiwatował z trybun. Świętowali gorliwiej niż inni, ponieważ wiedzieli, że celebrują zwycięstwo nieskażonego pragnienia nad szantażem środowiskowych dyktatów, promujących dulczenie w korporacyjnym boksie, koniecznie pod krawatem. Certyfikat traktowali jako symbol tego zwycięstwa.

Jacek pracuje obecnie dla autentycznej, renomowanej firmy międzynarodowej. Odwiedza różne kraje, daje prezentacje dygnitarzom rządowym, steruje wydziałem zatrudniającym dziesiątki pracowników, przedstawia przełożonym świeże koncepcje. Cenią go za błyskotliwość, przebojowość, uczciwość, rzetelność i niesamolubność, a jednocześnie za kuriozalną skromność. Nikt go jeszcze nie docenił za... tytuł MBA, który zresztą nie był wymagany przez pracodawców.

Jacka nie pociągał stopień naukowy, ale dowodzenie. Chciał dawać przykład, brać na siebie odpowiedzialność, wystawiać pierś za innych - takie posłannictwa wyliczał, gdy opisywał swą przyszłość, nie zaś specyficzne rangi, awanse, plakietki itd. MBA przedstawił sobie jako wyzwanie, pokonanie którego miało mu udowodnić te zdolności, które już posiadał, lecz których bał się uzewnętrznić.



Kiedy nie można powiedzieć „dość”? Kiedy kapitulacja tłamsi najgłębsze pragnienie, pozwalając utartym szablonom wygrać - jest to recepta na wieczną, beznadziejną przeciętność. Poprzeczkę namierzoną z własnej i nieprzymuszonej woli trzeba przeskoczyć, nawet jeżeli poprzeczka została ustawiona przez kogoś innego.

Grzesio nie uchronił siebie ze szponów trywialności, ale wyrwał z nich syna. Warto było użyć brutalnego nacisku - pierwszy i ostatni raz w rodzicielskiej karierze - by dziecko nie pozwoliło dyrektywie „dość” obdrzeć się z naturalnych skłonności.